



Halina
Cieszkowska



Mail
Halina Chlistunow

Klarysew koło Warszawy
ponta jeziorna

SHEPHERD'S BUSH
No 0700

Poland

Thoj Meski.



Ocalone
z niepamięci

(Listy z Londynu)



Klawgsercki dom

Zagrabny - nizragrabny

Wojna, zima 1941r.

Dziękuję

tym wszystkim, którzy pomogli mi
ocalić od zapomnienia te listy
A dedykuję tym wszystkim, którzy po wojnie
nie wrócili do kraju

Halina Cieszkowska

Wstęp

„Wojny nigdy nie są wygrane”

Lew Tołstoj

II Wojna Światowa szczególnie była dla nas okrutna, a jej skutki trwają do dziś. Prócz strat materialnych, kraj poniósł ogromne straty w ludziach. Była to przecież walka z dwoma wrogami. Ale statystyka nie jest jeszcze zamknięta, ani kompletna. Nie wiemy przecież o wszystkich, którzy zginęli. Poza tym należałoby doliczyć do ofiar wojny tysiące przymusowych tułaczy, emigrantów z konieczności przeraźliwie czepiających się wspomnień i tych z nieuleczalnymi ranami duszy. Tym okaleczonym przez wojnę, jak i tym przez nią skażonym, nie udało się do dziś wygrzebać spod tego potwornego dziedzictwa. A nawet, gdy już sądzili, że jakoś się otrząsnęli i ozdrowieli – spadały na nich okropne skutki uboczne wojennego inwalidztwa lub też różnego rodzaju psychozy, nerwice, depresje. Znane są przecież objawy „nerwicy frontowej”, jak również urazy doznane na skutek przebywania w łagrach czy obozach koncentracyjnych. I niektórzy z nich o słabej konstrukcji psychicznej ulegli załamaniu. Tak wiele wartościowych jednostek ubyło krajowi, tak wielu utalentowanych ludzi. Sporą grupę wśród nich stanowią emigranci ostatniej wojny – żołnierze Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Często tym ludziom zawałilo się wszystko. Postawieni przed twardą, powojenną rzeczywistością, zmuszeni nieraz do bardzo trudnych decyzji – nie mogli, a czasem nie chcieli wracać do kraju, takiego, jakim się stał. Choć tak bardzo pragnęli powrotu do domu i bliskich – nawet jeśli byłoby tam głodno i chłodno. Pozostając po zdemobilizowaniu, na łasce króla Jerzego, w obcym im środowisku, ciągle się czuli samotni.

Nazywano ich w Anglii: Di Pi (Displaced persons – osoby bez miejsca). Czepiając się rozpaczliwie wspomnień, nie byli zdolni do realnego życia. Często prowadzili bezdziedziną egzystencję (łącznie z „zapijaniem” tęsknoty), nie widząc przed sobą ani perspektyw, ani nie mając żadnych motywacji. Nikt z aliantów nie pamiętał już o ich udziale w tej wojnie. Nie pamiętano ich pomocy w Battle of Britain. W przewiewnych, zimnych barakach obozów wojskowych zw. Beczkami, w północnej Anglii czy Szkocji, trwały nieustanne debaty, niekończące się dyskusje, których tłem były wojenne przeżycia. Poczieszano się wzajemnie, próbowano przebłyskami humoru rozproszyć nieznaną, ciemną przyszłość. Przecież większość z nich to była „sama młodość”. Zwłaszcza Święta Bożego Narodzenia zaostrzały tęsknotę. Słuchano radiowych wiadomości z kraju. Przemawiał prezydent Bolesław Bierut, który zapewniał wszystkim byłym żołnierzom i oficerom Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie ochronę przed złym traktowaniem. Mówił, że odznaczenia zagraniczne będą w Polsce respektowane. W polskim środowisku w Albionie z czasem nastąpiła stagnacja, choć życie toczyło się dalej. Zaczęto rozważać możliwość dalszej emigracji. Coraz częściej się na nią decydowano. Najatrakcyjniejszym miejscem wydawały się Stany Zjednoczone, czasem Kanada, czasem Australia. Wyjeżdżano, by móc rozpocząć tam nowe życie. Większość z tych wojennych tułaczy już nie żyje. Niejednemu z nich jako przyczynę zgonu, można by wpisać II Wojnę Światową. Ostatni Mohikanie Armii Krajowej, Korpusu Andersa, dywizji gen. Maczka, czy innych formacji, zostali na obcej ziemi. Bohaterscy zwycięzcy – pokonani przez los. Oto nonsensy ostatniej wojny!

Na tym tle fragmenty przytoczonych tu listów stają się bardziej zrozumiałe. Listy te po ponad 60–ciu latach nabrały już wartości historycznego dokumentu. Autor ich Kazi-

mierz Korolkiewicz w 1939r. przyjechał na wakacje z Wileńszczyzny do swej chrestnej matki. Na skutek wybuchu wojny szesnastoletni chłopiec został gwałtownie oderwany od matki i siostry. A życie go i dotychczas nie głaskało. Wcześniej utracił kontakt z ojcem. Matka, borykając się z materialnymi trudnościami, wysłała syna pod opiekę dziadków, którzy wychowywali go surowo, bez taryfy ulgowej. Pozbawiony rodzinnego ciepła, wtedy gdy tak bardzo tego potrzebował, stał się bardziej zamknięty, ale i bardziej wrażliwy. Nic więc dziwnego, że gdy trafił do swoich krewnych, gdzie przyjęto go jak syna, gdzie panowała wspaniała rodzinna atmosfera, do domu dość zasobnego, ale otwartego na potrzeby innych, gdzie spotykało się wielu ciekawych, wartościowych ludzi – domu, który reprezentował wysoki poziom stylu życia - dla tego nieśmiałego, dość jeszcze nieokrzesanego, nieobytego młodzieńca owo miejsce stało się oazą, uosobieniem domowego ogniska, wymarzoną Itaką, symbolem idealów i wartości. Przyłgnął więc całkowicie do tego miejsca, zadomowił się, poczuł się bezpiecznie, choć wokół trwała okrutna okupacyjna noc.

Po dwóch latach został zaprzysiężony w tajnej organizacji wojskowej, z której później powstał KEDYW Armii Krajowej pod pseudonimem „Bolek”. Pracujący ostatnio w egzekutywie podziemnego Sądu Wojskowego – musiał w błyskawicznym tempie pożegnać dzieciństwo i stać się człowiekiem dojrzałym. Aresztowany w jednej z akcji w 1943r., staje się więźniem Pawiaka, później Oświęcimia i Mauthausen-Gusen. Wyzwolony przez wojska amerykańskie, kończy podchorążówkę zostając wcielony do Korpusu Andersa. Następne lata spędza w Anglii, w wojskowym obozie. Podemobilizacji studiuje i mieszka w Londynie. Pod koniec lat 60-tych emigruje do Stanów Zjednoczonych, gdzie w wieku sześćdziesięciu paru lat umiera. Nigdy nie powrócił do kraju.

I tak to się często kończyło. A po niektórych z nich – prócz pamięci w sercach najbliższych – nawet ślad w kraju nie pozostał. W książce Henryka Witkowskiego pt. KEDYW Okręgu Warszawskiego AK w latach 1943-1944 r. w dołączonych na końcu raportach o stanie osobowym poszczególnych oddziałów, podano ilość poległych, rannych, rozstrzelanych, aresztowanych (często tylko ich pseudonimy). W punkcie aresztowani wymieniony jest również autor listów Kazik – ps. Bolek.

I to wszystko!

PS. „Sprawa Bolkowej”, która się często w listach pojawia w zawołowanej formie – jest sprawą przyjazdu adresatki tych listów do Anglii, czyli zorganizowania, tzw. przerzutu na Zachód. Wiedziała ona, że już sama korespondencja z Zachodem jest niebezpieczna dlatego i ona musiała się wypowiadać w listach enigmatycznie. W roku 1949, postawiona wobec natychmiastowej decyzji wyjazdu z kraju – czas bowiem był ostateczny, możliwości przerzutów już się właściwie skończyły – postanowiła zostawić studia (tuż przed obroną pracy magisterskiej), zmienić swój wygląd zewnętrzny i wyjechać do Szczecina, gdzie przy pomocy kierownika prac remontowych miała zostać wpuszczona jako młody robotnik na teren portu (znajdującego się we władaniu wojsk radzieckich) i ukryta w ładowni jednego ze szwedzkich rudowęglowców. Niestety, owego feralnego ranka kierownik ów został aresztowany. Tak więc wyjazd nie doszedł do skutku, a małżeństwo „Bolków” nigdy nie zostało zrealizowane. Jednak historia zatoczyła koło. W roku bieżącym zaproszona przez swoje wnuki pracujące w Londynie mogła – po wielu latach przejść się ulicami miasta, po których chodził jej ukochany.



Już w cyfrze na budyńskie
bnie.

London 11.4.47



Zamiast Prologu

Znalazłam niedawno Twoje listy. Jest ich aż 93. Minęło przeszło lat sześćdziesiąt, kiedy rozpoczynaliśmy naszą korespondencję Londyn – Warszawa. Dziś już pożółkłe, małego formatu koperty i te w środku upchane cieniutkie kartki (żeby się więcej zmieściło) zapisane dość niekaligraficznie Twoją ręką.

Jestem już dziś bardzo wiekową osobą. Gdzież ta klarysewska dziewczeczka do której pisałeś? I cóż mam z tym wszystkim zrobić? Wyrzucić – stanowczo nie mogę. Mogę spalić? No tak – ogień zniszczy ślad materialny, ale gdzież się podzieją wówczas Twoje żale, bóle, tęsknoty, nadzieje – cały ten bezmiar uczuć, żarliwości, którymi została prześląknięta ta korespondencja? Czy można to wszystko skazać na niebyt, unicestwić?

Więc może lepiej niech idzie do ludzi, poruszy czyjeś serce, rozbudzi czyją wyobraźnię, czegoś nauczy, coś przekazuje lub uświadomi czytającemu jak bardzo jest szczęśliwy posiadając to wszystko, czego zabrakło autorowi tych listów. Jeśli tak się stanie coś z tych listów zostanie ocalone.

Oczywiście ja również skwapliwie Ci odpowiadałam, ale w okresie Twego aresztowania i później tyle się jeszcze wydarzyło ... i tak bardzo mi Ciebie brakowało. Nigdy się o tym nie dowiedziałeś.

H. C.

Warszawa, zima 2010

Listy nie wysłane

Mój
Ty tak bardzo już daleki,
a jednocześnie
wciąż tak bardzo mi bliski!

List 1. Lato 1943

Pamiętam to jakby dziś. „Dobranoc! Śpij spokojnie” – powiedziałeś mi na schodach pięterka domu, stanowiącego miły akcent podwarszawskiej osady Klarysew. Był wieczór 13 sierpnia. Czy spałam spokojnie? – Chyba tak. Nie mogłam wszak przewidzieć, że było to nasze pożegnanie na zawsze. Nazajutrz bowiem wybrałeś się ze swoim patrolem na jakąś akcję. Niestety, już do niej nie doszło. Zbiórkę mieliście na Senatorskiej, tuż przy figurze św. Jana Nepomucena. Wasz młody wiek i być może buńczuczna postawa musiały zwrócić uwagę niemieckiego patrolu, obserwującego Plac Bankowy z małej kawiarenki tuż obok poczty. Zostaliście aresztowani. Gorzej! Któryś z Was nie wytrzymał, wyjął broń i strzelił do Niemca. Żandarmi odpowiedzieli ogniem. Ktoś widział Cię leżącego w kałuży krwi. Wieczorem cała klarysewska rodzina okryła się żałobą. Myśleliśmy, że zginąłeś. Prócz ogromnego żalu – również strach, że być może miałeś ze sobą „coś trefnego”, jakieś adresy, nazwiska, że przyjdą, że aresztują i nas. Wszak wszyscy mieliśmy coś na sumieniu. Owładnięte rozpaczą – ja i Twoja kuzynka H. snułyśmy się jak błędne po zalesionej skarpie, przystając przy altance, przy dębnie, obejmując się serdecz-

nie nawzajem i płakałyśmy bezgłośnie, żałośliwie, nie licząc na żadne pocieszenia. A właśnie była pełnia księżyca. Obojętnie spoglądał na nas z wysoka. Przypomniałam sobie jak mówiłeś, że nie lubisz pełni, że wtedy często spotyka Cię jakaś przykrość, jakieś cierpienie. Wtedy też zniszczyłam Twoją ulubioną płytę, którą często nastawiałeś „na górce” u dziewczynek, gdzie się słuchało, tańczyło, dyskutowało i śmiało się, bo przecież byliśmy młodzi, bo wakacje, bo pływanie, bo tenis, bo spacer, bo piękna, letnia pogoda.

List 2.

O Boże, co za ulga. Świat znów stał się kolorowy. Żyjesz! Jesteś co prawda na Pawiaku, więc może nie wszystko jeszcze stracone? Może uda się wykupić Cię za pieniądze. Nasze serca czepiają się tej myśli, jak ratunkowego koła. Nie jesteśmy całkiem bezsilni.

Po paru dniach niestety – okrutna wiadomość. Zostałeś transportem wywieziony do Oświęcimia. Co dalej – nie wiadomo. Dopiero po miesiącu kartka z Austrii: jesteś więźniem obozu Mauthausen Gusen, jednego z najgorszych obozów koncentracyjnych. Już nie jesteś naszym chłopcem, kuzynem, narzeczonym. Jesteś numerem – jednym z wielu tej fabryki śmierci. No i jak tu dalej żyć?

List 3. Lato 1944

Ale jakoś żyjemy. Musimy. Nadal robimy swoje, nie bacząc na konsekwencje, na coraz dotkliwsze represje okupanta. Ale już nie długo, już za moment nadejdzie ta chwila, jedyna, wymarzona, kiedy otwarcie będzie się można zmierzyć z wrogiem. Będziemy się bić z Niemcami – za nasz kraj, za nasze miasto! Będziemy się bić za nasze krzywdy, za wszyst-

kie zbrodnie dokonane na naszym narodzie. Jest 30 lipca. Wiemy, że już blisko godzina „W”. A Ty – jakbyś się z tego cieszył! Jak byśmy się wspólnie szykowali, razem stawili na rozkaz. Pójdę więc i w Twoim imieniu. Będę walczyć za nas oboje, choć moja walka ograniczy się prawdopodobnie tylko do pracy gońca przenoszącego meldunki, łączniczki obsługującej wojskową centralę. Oprócz wymaganego ekwipunku zabiorę też swoją najlepszą, wizytową sukienkę. Wszak to moje święto. Wrócę, pewnie za tydzień, pobijemy już chyba tych Niemców. Tak mówię mojej mamie, która bohatercko żegna mnie bez łez. Podlewaj moje pomidory, Mamusiu – szepczę jej wsiadając do wagonu kolejki wilanowskiej, która ma mnie zawieźć do Warszawy na punkt koncentracji mojego plutonu.

List 4. Zima roku 1944

Obóz jeniecki w Saksonii, szpital wojskowy. W moim baraku wszystkie dziewczęta chorują na szkarlatynę. Niemcy mówią na nas: „Skarlat Mädchen” i nie są dla nas źli, może dlatego, że obsługuje nas Wehrmacht. Wczorajsza wiadomość o paczkach z genewskiego Czerwonego Krzyża zelektryzowała cały nasz polski, wspaniały zresztą medyczny personel i rannych powstańców z Warszawy. Początkowe przygnębienie klęską powoli mija. Żyjemy, siły przybywają, w większości jesteśmy młodzi. Obóz jest zorganizowany przez nasze polskie władze – wzorowo.

Kwitnie życie naukowe, kulturalne. To nic, że na obcej ziemi, że chłodno i głodno. Może czerwono krzyskie paczki zdążą na Święta? Może uda się przeżyć coś w rodzaju Wigilii? Nasze niemieckie „niańki” obdarowały „skarlatynki” małą sosenką (posłuż nam za choinkę). Oplatek też powinien się znaleźć – mamy przecież własnego kapelana. Zaśpiewamy

kolędy. Przeniesiemy się myślą do kraju i bliskich. Tylko o Tobie nic nie wiem. Czy jesteś jeszcze wśród żywych? Jak bardzo chciałabym podzielić się z Tobą oplatkiem.

List 5. Wiosna 1945

Wreszcie koniec wojny. Wyjeżdżamy do kraju. Organizujemy pierwszy transport z ozdrowieńców i części medycznego personelu. Nasz „tabor cygański” składa się z kilkunastu platform zaprzężonych w konie. Kilkanaście rowerów obsługują tak zwani zwiadowcy. To ci, co jadąc naprzódzie, wyszukują miejsc odpowiedniego zatrzymania się i noclegów. Jestem jedną z nich. Zapisuję w notesie całą trasę naszej podróży, wszelkie mijające miejscowości. Przyda się może kiedyś dla wnuków. Organizacja transportu doskonała. Jedzie z nami kuchnia polowa z puszkami smakowitej wieprzowiny w sosie, tzw. „Schweinefleisch” „zdobytch” przez nas z opuszczonej już niemieckiej kantyny. Na ostatnim wozie mamy schowaną broń i granaty „kombinowane” przez nas z opuszczonych wieżyczek strażniczych. Tak, na wszelki wypadek, bo to i partyzantka niemiecka i sowieccy sojusznicy lubią internować napotykanych Polaków. Na razie mamy jeszcze na sobie kurtki z wojskowymi odznakami i biało-czerwone opaski na rękach, ale gdy zbliżymy się do polskiej granicy wszystko to zostanie schowane i staniemy się (ze względu na bezpieczeństwo) już tylko bandą cywilów. Wygląda na to, że dziś będziemy spać pod gołym niebem, majowym, wygwieżdżonym. Tyle milionów światów nade mną. Jakaś nieziemska otchłań. Jak się odnaleźć dwóm takim drobinkom jak Ty i ja? A przecież wydawało się, że nic nas rozdzielić nie jest w stanie. Pamiętasz „na górze” w tym wielkim fotelu? Siedzieliśmy przytuleni, wschluchani w nokturn Szopena. To była chwila kompletnego zespo-

nia, jakiejś błogości, szczęścia aż do bólu. Nie wiedziałam, że szczęście może boleć. Gdziekolwiek jesteś... życzę Ci dobrej nocy!

Pogoda nam dopisuje. Chyba cała wiosenna aura cieszy się wraz z nami, roztaczając bezwstydnie swoje wdzięki, ale też bezlitośnie odsłaniając wszystkie zniszczenia i spustoszenia dokonane przez wojnę. Ale nam jest radośnie, choć nie całkiem jeszcze bezpiecznie. W kraju też czekają nas podobno różne zmiany. Niektórzy nie chcieli wracać. Postanowili przedostać się za Łabę, na zachód, do strefy okupowanej przez Aliantów. My postanowiliśmy inaczej, bo czyż wszystkiemu należy wierzyć. Zresztą w kraju będziemy u siebie. Cieszymy się, że coraz nam bliżej do swoich. A ponieważ jesteśmy rozśpiewanym zespołem (nie na próżno mamy w swym gronie muzykologa – Hankę P.), płyną więc polskie ludowe piosenki: „Szła dziewczeczka do laseczka”, „Hej krakowskim gościńcem”, „Głęboka studzienka” i wiele innych (niektóre z nich odnajdziemy później w repertuarze „Mazowsza”).

Do jednej z piosenek dorobiliśmy nowe słowa

„Oj! Kochanie, kochanie - gorsze niż niewola,
Oj! Z niewoli wyzwolą – z kochania nie zdołają...”

To prawda - jestem już wolna, ale nie wyzwolona z uczucia do Ciebie... i wcale bym tego nie chciała - moj Ty „Jasieńku” co masz jasne oczy, jak w tej piosence, gdzie „na wójtowej roli studzieneczka stoi”.

List 6.

Pociąg Poznań – Warszawa. Wsiadam z bratem. Inni rozproszyli się już po całej Polsce, szukając swych rodzin, tułaczy z Warszawy. Brniemy przez ruiny naszego drogiego miasta. Jedyna ulica to wydeptana ścieżka wśród zwalisk

gruzu i kamieni. Czyżby to dawna Marszałkowska? Straszą szkielety pozostałych gdzieś domów – cisza, martwota, bezludzie. Każdego napotkanego człowieka witam jak brata. Na tych zwaliskach coś barwnego przyciąga oko. To afisz: "Pod sąd A. K. zdrajców, pomocników Hitlera!". To o nas „Przyjemne powitanie”.

Po przejściu przez Las Kabacki ukazują się nam rodzinne strony, a więc wygon, czyli droga przez pola i widniejące z daleka dachy klarysewskiego osiedla. Obrazek, który na pewno i w Twoim wrył się sercu.

Pamiętasz miedzę, wśród lanów dojrzewającego żyta, gdzie padły tak ważne dla nas słowa? I teraz też wydaje się mnie i bratu, że dawne wróciło. Że idziemy do domu, gdzie nic złego nam stać się nie może. My, zmęczeni tułaczki... jak w tym wierszu Juliana Tuwima, który niegdyś często czytaliśmy.

„Zapomnisz o tej chwili, gdy do domu wrócisz
I zamkniesz okiennice w sosnowym pokoju
Zmęczony, jakbyś oral, na łóżko się rzucisz
I będziesz w ciszy drzemał pod trudach i znoju...

Przez szparę w okiennicy wpadnie promyk wąski
Na białej fotografii rozszczepi się w tęczę
Spostrzeżesz przytrzaśnięte przez okno gałązki
Kosmaty bąk natrętnie do snu ci zabrzęczy.

I oddasz się słodkiemu uśpieniu w niewolę
Pod tumanem dzieciństwa, co w oczy napłynie
A tam lubinem wonnym szaleć będzie pole
I niebo obłokami kąpać się w głębinie.”

Przyspieszamy kroku, by jak najszybciej znaleźć się na miejscu. A tam – rodzice, przyjaciele, wszyscy wylegli do ogrodu: łyżki, okrzyki, radość powitania. I nasze niecierpliwie zadane pytanie – czy możemy bezpiecznie tu zostać? – Zostajemy. – Co za ulga. I tylko Ty będziesz moim stałym smuteczkiem. Będziesz nachodzić mnie w dzień i w nocy. Towarzyszył moim pierwszym powojennym krokom. Mój Ty smuteczku najmilszy.

List 7. Jesień 1946

Życie zaczyna się stopniowo normalizować, choć chaos powojenny jeszcze trwa. Można już jednak zacząć myśleć o przyszłości. Tylko jaka to przyszłość bez Ciebie? Nie dajesz znaku życia, a ja nie bardzo wiem jak mogłabym Cię odnaleźć? Klarysewska rodzina przeżywa trudne chwile: aresztowanie jednej z Twoich kuzynek, nachodzenie przez Urząd Bezpieczeństwa, rewizje. Nawet o nas to zahacza, mieszkamy przecież na wspólnym terenie. Nawet u nas przeprowadzają rewizje. Obstawili dwie furtki wyjściowe, nikogo z nas nie wypuszczają. Wspinam się na stojącą tuż przy końcu ogrodu leszczynę, przelażę przez ogrodzenie, aby okrężną drogą trafić na stację wilanowskiej kolejki i zawiadomić przyjeżdżające do nas osoby o niebezpieczeństwie. Po paru godzinach odwołują strażników. Oblężenie się kończy. I myślę – wbrew wszystkiemu – jak dobrze, że Cię dziś tu nie ma.

List 8. Zima 1946

A więc jestem już w Polsce. Zdążyłam się zaaklimatyzować. Niczego groźnego na razie jeszcze nie zauważyłam. Naturalnie o przeszłości oficjalnie się nie mówi.

Przeszość została pogrzebana. Jej resztki zakopane tam, gdzie były moje grządki pomidorów i szparagowej fasolki. Co prawda krążą jakieś zatrważające wieści. Czasami ktoś z moich znajomych harcerzy „Zośki”, czy „Parasola” nagle znika. Ale stalowe kleszcze nowego okupanta zaciskają się stopniowo – prawie niezauważalnie.

Na razie cieszę się, że przeżyłam tę wojnę, że jestem już oficjalną studentką Wydziału Humanistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Z dumą noszę białą czapkę z amarantowym paseczkiem. W wolne od pracy dni odgruzowujemy Warszawę. Mam dużo sympatycznych koleżanek i kolegów, z którymi się przekomarzam i flirtuję. Ale nikt mnie nachalnie nie podrywa. Jestem jakby „pod ochroną” – mam przecież gdzieś tam narzeczonego. Ale czy mam Cię naprawdę? Czy jeszcze istniejesz? Skąd ta cienka, głupiotka nadzieja? Chyba z mojego optymistycznego usposobienia. Przeglądałam parę rzeczy, które mi zostały. Wśród nich jedyna nasza wspólna fotografia, mała figurka przedstawiająca siedzącego Buddę i flakonik nieco wywietrzałych już perfum. Dostałam je od Ciebie na któreś tam okupacyjne urodziny, „Soir de Paris” – taka firma, co za luksus! Mdląco – słodki odurzający zapach egzotycznego kwiatu heliotrop. I moje zdumienie: skąd coś takiego w czasie okupacji zdobyłeś. Dopiero w wiele lat po wojnie domyśliłam się, że musiał Ci to załatwić wówczas przyjaciel domu, inżynier Bolesław Z. w czasie którejś ze swoich kurierskich wypraw przez Paryż do naszego rządu w Londynie.

Przedemną nauką, egzaminami. Mimo różnych utrudnień: braku opału, zaopatrzenia, podręczników, komunikacji miejskiej itd. nastrój na Uniwerku jest wspaniały, życzliwe koleżeńskie stosunki, profesorowie serdeczni i wyrozumiali. Kochany! Tyle chciałabym Ci powiedzieć, tyle przekazać z tego co czuję. Jak cieszysz mnie normalne życie, jak cieszysz

mnie normalne, codzienne sprawy - sprawy, w których moglibyśmy uczestniczyć oboje.

List 9. Wiosna 1947, Klarysew

Rozciągnięta na leżaku widzę zbliżającego się młodzieńca. To wysłaniec Polskiego Czerwonego Krzyża. Pyta mnie o nazwisko. Potem podaje mi kartkę, mówiąc, że ktoś mnie szuka. To kartka od Ciebie z adresem. O Boże! A więc żyjesz, naprawdę żyjesz! Chcę wykrzyknąć swoją radość całemu światu. Tyle niespokojnych chwil, tyle niezaspokojonej tęsknoty. Budzę się jak ze złego snu: jesteś, jesteś, jesteś!



Jedyna wspólna zdjęcie
Określenie niemieckie 1941



Listy z Londynu

Wiosna 1947

Najmilsza Moja! Dziś otrzymałem pierwszy list od Ciebie. Wybacz! Ale nie mogę oprzytomnieć! Więc znowu Warszawa, Klarysew, altanka.... znowu najmilsze istoty, żyją, pamiętają. Znasz chyba po trosze moje koleje: od pamiętnego 14 sierpnia 1943r. – Pawiak, Rajsko, Oświęcim, Mauthausen-Gusen. Potem wyzwolenie, obozy wojskowe w Niemczech, słoneczna Italia, wojsko. Teraz barak naszych żołnierzy w Anglii. Baraki stoją nad brzegiem morza. Wieje zimny wiatr, wiatr angielski. Tyle różnorodnych wrażeń, tyle wspomnień i... tyle rezygnacji. Gdy umierałem prawie z głodu i chorób w Gusen – widziałem Was, Klarysew, altankę i jedynie wola przetrwania i powrotu utrzymywała mnie przy życiu. A teraz – zwiedziłem co prawda kawałek świata: Niemcy, Austria, Włochy, Anglia, Francja. Kraje, miasta, ludzie ... i pustka. Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo samotnym czuję się tutaj. Musisz wiedzieć, że po uwolnieniu ważyłem zaledwie czterdzieści dwa kilogramy i przez parę tygodni nie mogłem wrócić do zdrowia. Ledwie trzymając się na nogach laziłem po pewnym obozie w Bawarii, gdzie znalazłem się dwa tygodnie po uwolnieniu. Życie nadal ze mnie uciekało. Machnąłem już ręką na siebie. Trudno, widocznie nie zobaczę już nigdy więcej dębu ani altanki. Jednak wbrew wszelkim przewidywaniom w pewnym momencie zacząłem się poprawiać. Ten zwrot nastąpił po wypiciu paru kieliszków bimbru. We wrześniu 1945r. znalazłem się we Włoszech. Fizycznie przedstawiałem się już wcale, wcale. Jedynie, gdy się rozebrałem wwoływałem zdziwienie, bowiem ciało moje przedstawiało niesamowitą mozaikę blizn. Umysłowo i duchowo jednak w tym okresie nie wróciłem do siebie. Gusen – niestety –

należał do najgorszych, zupełnie zapomnianych obozów koncentracyjnych. To, co się tam działo nie znajdziesz w żadnej popularnej obecnie publikacji o Dachau, Oświęcimiu, czy Buchenwaldzie. Ja znowuż miałem szczególnego pecha, brak mi tam było najmniejszego poparcia, pomocy w pracy itp. Zresztą te stosunki naświetla fakt, że z mego transportu, który przybył w listopadzie 1943r., w liczbie 1000 osób, na wolność wyszło nas zaledwie siedemdziesiąt parę. Mnie trzymała jakaś niesamowita wola przetrwania i ujrzenia Was. Mówię zupełnie szczerze. Gdybym przewidywał to, co zajdzie obecnie – na pewno byś tych listów nie otrzymała. Może więc obecnie lepiej zrozumiesz moje załamanie, gdy się przekonałem, iż nie stanowią absolutnie nic dla ludzi, którzy byli dla mnie dosłownie wszystkim – nikt bowiem mnie nie szukał. I tak oszołomiony, nie pozostawiając dostatek do wojska – a to już inna historia.

Podchorążówka: Ćwiczenia, egzaminy, gonienie po skalach włoskich dniami i nocami, na piechotę i w czółgach. W wolnych zaś chwilach nostalgia i pijane rozmowy nad butelką we włoskich knajpach. I nic – żadnej wieści z kraju, żadnego kontaktu ze znajomymi sprzed aresztowania. Po skończeniu podchorążówki parę dosłownie dni wolności, trochę lazikowania po Italii. A swoją drogą bardzo przyjemnie sobie Włochy wspominam. Tam było nieklamane, niebieskie niebo, słońce, góry, morze, wino, no i prawdziwe kobiety. Tu niebieskie niebo i słońce na kartki nawet nie jest przydzielone, wino jest drogie, a kobiety bez temperamentu i bez piersi. A swoją drogą myślę, że utrudnianie nabywania alkoholu było chyba celowym i rozsądnym posunięciem brytyjskich władz. Cena 3 butelek whisky w wolnym handlu równała się cenie wełnianego, męskiego garnituru, a do Anglii napływała przecież masa wojsk. Finansowo powodziło mi się nieźle. Miało się do dyspozycji samochody.

Początkowo przepijałem całą gotówkę. Powoli zacząłem się jednak otrząsać z marazmu. Zaczęłem panować nad sobą. Wyjechałem do Anglii. Inne warunki, otoczenie. Plusy i minusy nowej sytuacji. Ale wydawało mi się, że jestem już człowiekiem wyleczonym, choć nostalgia pozostała i trwa ciągle. Pierwsze miesiące w Anglii masę znajomości zwłaszcza z pięcią piękną, bezustanne zabawy. Uczęszczałem do najwykwintniejszych nocnych lokali. Przyswoilem trochę język angielski. Pracowałem w różnych biurach wojskowych. W międzyczasie wylądowałem w Cark Campie – to jest chyba najbardziej zapadła dziura w Anglii. Wprowadziłem element ruchu umysłowego do mego nowego środowiska. Zaczęły się dyskusje, pryncypialne zagadnienia roztrząsane do późnej nocy itp. Potem nastąpiła pewna stagnacja. Najbliżsi mi ludzie wyjechali. W tym to czasie otrzymałem pierwszy list od Ciebie (wiosna 1947r.) Odnalazłem też parę dawnych, znajomych mi osób. Dostałem adres H. i naturalnie następnego dnia pojechałem z obozu do Londynu na spotkanie. Opowiadaliśmy sobie niekończące się historie sami nie wierząc, że to naprawdę znowu, jak za dawnych groźnych, ale jakże kolorowych czasów. Błyskawicznie minęło 5 dni, które mogłem poświęcić na Londyn. Zapytaj J. czy pamięta pewien dom na Brzozowej, czy przypomina sobie kościół na Krakowskim Przedmieściu. Tyle mamy z nim wspólnych przeżyć. Dziwne, ale ja ten właśnie okres mojego życia uważam za najpiękniejszy i wspomnienia z tych bujnych czasów będą zachowane przeze mnie, jako coś jedyne w swoim rodzaju, jako coś do czego bym – gdyby to było możliwe – wrócił w każdej chwili.

Maj 1947

Najgorsze jest to, że siedzę na obczyźnie i nie mogę pracować dla kraju. Odczuwam to bardziej niż się Tobie wydaje. I czuję się od dłuższego czasu bardzo osamotniony. Wiesz chyba o tym, że spędziłem kilka dni u H. w Londynie. Odbija ona dodatnio od pozbawionej wszelkiej żywej myśli emigracji londyńskiej. Ale mam pewną obawę, że i ona podda się wpływowi wilgotnej mgły londyńskiej, która pożera najtęższe duchy. Ma męża i dziecko, ale dla osoby o tak szerokich horyzontach i tak wielkich możliwościach zbrodnią byłoby zagrzebać się w codziennie – rodzinnych drobiazgach.

Lato 1947

Napisałem list do Wiktora i już otrzymałem odpowiedź, zresztą w bardzo miłym tonie. List ten zrobił na mnie dziwne wrażenie. Wiktor prosi mnie o bardzo szczegółowe dane, co robiłem po wyjściu z obozu, no i moich dalszych zamiarach. Nie pisałem mu nic o Tobie. Uważaj dziewczyno. Trochę boję się o Ciebie. Bywam czasem u H. Zmuszam ją do opowiadania mi, nie wiem po raz który, o Klarysewie. Wyławiam skrzętnie każdy fragment, w którym Ty figurujesz.

(...)

Czasami nasza „beczka” przypomina trochę zacisze domowe. Bywa to zawsze wieczorem. Chłopcy już leżą w łózkach. Światło zgaszone. Jakaś miła muzyczka przez radio. Może „night and day”. Pamiętasz to chyba dobrze z naszych wieczorów „na górce” u dziewczynek? Ogniki ostatnich na dziś papierosów. Niektórzy już śpią, a ja myślami przenoszę się do kraju.

(...)

Tu świeci wyblakłe, angielskie słońce. W baraku pusto. Przez radio nadają pierwszorzędne amerykańskie utwory taneczne. Przypominam sobie jeden z niedawnych wieczorów: dyskretny lokal, przyćmione światła, na parkiecie kolyszające się rytmicznie pary. Lubię bardzo tańczyć jak pamiętasz to chyba jeszcze z „górką”. Nigdy jednak osoba partnerki nie była mi obojętna. Tu więc też nie brak odpowiednich ram, można się bawić ale nie ma z kim. Może jeszcze kiedyś zatańczymy? Czy mogę w to wierzyć?



(...)

Och! Jakżesz się cieszyć z Twego listu. W pierwszej chwili z radości chciałem stanąć na głowie. Każdy z nas tu, po latach tułaczki jest niezwykle wygłodniały uczuciowo. Nie mam na myśli kwestii fizycznej, bo o to jest bardzo łatwo. Cztery lata zupełnej pustki. Cztery lata brak kogoś, kto cię rozumie i dla kogo ty też jesteś kimś – to bardzo dużo – to zbyt wiele na nasz młody wiek. I tym przyjacielem nie może być Włoszka czy Angielka. Tak ja przynajmniej sądzę. O Polkach zaś będących tutaj – lepiej w ogóle nie pisać. Warunki są specjalnie demoralizujące. Być może wy, tam w kraju jesteście przez nas wyidealizowane. Nie sądzę znowu, że jestem takim rozbitkiem życiowym. Czasami stać mnie na niczym nie uzasadniony dziecinny humor. Wówczas niebawem rzeczy dzieją się w baraku nr. 7. Mam tu kolegów, którzy mi dzielnie sekundują w różnych wybrykach. Czy potrafisz na przykład wyobrazić sobie mnie śpiewającego na scenie? A jednak tak było, naprawdę. Parę wieczorów wyglupiałem się niesamowicie w YMCA i co dziwniejsze oklaskiwała mnie cała sala. Wczoraj znów jeden z kolegów siadł do fortepianu, ja zaś do perkusji, no i znów ku uciesze zebranych w naszym klubie żołnierzy i Angielek „robiliśmy” murzyńską muzykę. W ogóle nieźle dobrane, młode towarzystwo zamieszkujące barak nr 7 (obrzydliwa beczka) tyraniżuje obóz.

(...)

Bardzo, bardzo dziękuję Ci za Tuwima. Nie wyobrażasz sobie, co za fale wspomnień przyniósł on ze sobą. Mamy obecnie dziwną, po prostu niesamowitą pogodę. Słońce pali jak za dawnych, dobrych czasów. Anglia zaś pod wpływem słońca diametralnie się zmienia: masa zieleni, górki, wąwo-

zy, liczne jeziora i lasy. Morze wchodzi głęboko na kilkanaście nieraz kilometrów w ląd. W niedzielę urządziliśmy wycieczkę autokarem. Mielśmy parę postojów w niezwykle ładnie położonych miejscowościach kuracyjnych. Miasteczka angielskie są bardzo ładne. Domki w zieleni niezwykle gustowne. A koło miasteczek znajdują się jakieś stare parki ze zgrzybiałymi zameczkami, których tradycje i legendy sięgają musowo czasów Jana Bez Ziemi. Słońce grzało tak mocno jak w sierpniu 1939r. Czy pamiętasz nieśmiałego chłopca z kresów w krótkich porteczkach? Ten chłopiec opala swoje 24-letnie cielsko w taki sam upalny sierpniowy dzień a za parę dni 14 sierpnia o godz. 18-tej upłynie 4 lata od tragicznego momentu aresztowania w Warszawie, na Senatorskiej przy figurze św. Jana Nepomucena. Wówczas oderwano mnie od Was na bardzo długo. Ale czy na zawsze?

(...)

Dwa dni temu dostałem wiadomość o przyjęciu mnie na studia i udzieleniu stypendium. Studia zaczynają się już 20 VIII. Właściwie sam nie bardzo rozumiem jak to się stało. Około 169 osób zdawało egzamin konkursowy, a miejsc było zaledwie 25. Piszę dziś „załany” dosłownie z tego szczęścia, no i z żalu, że wyjeżdżam dzisiaj do ośrodka demobilizacyjnego i dalej, do Londynu. A zrywam obecnie ze środowiskiem, w którym żyłem parę lat. Zrywam z kolegą, który był mi najbardziej bezinteresownym przyjacielem. Włożę więc cywilne lachy i będę udawał „inteligenta”. Ciężko zaś będzie w Londynie, bo bardzo się do nich przyzwyczaiłem. Każdy tu z nas cierpi na głód uczucia, tęsknimy do każdego słowa wypowiedzianego w serdecznym tonie, za jakąś tkliwą i delikatną opieką. Mój przyjaciel był właśnie dla mnie kimś takim.

Wrzesień 1947

Ciągle rozważam za i przeciw i o Boże! Jak trudno mi znaleźć konkretne rozwiązanie. Czy Ty sądzisz, że mnie nie biorą diabli za pewnym kraikiem oraz za tak dziwnym, a jakże kochanym Miastem? Jednak sytuacja jest bardzo skomplikowana. Był taki moment, po wyzwoleniu, jeszcze przed złapanym kontaktem z Tobą, kiedy myślałem udać się do Włoch i tam zostać. Sądziłem, że nikt mnie, po prostu nie szuka. Później odnalazłem Ciebie, odnalazła się też mama i siostra, które wiele wycierpiały nim udało się im przedostać przez granice do zachodniej strefy okupacyjnej. Zacząłem też studia, choć nie wiem, czy uda mi się je skończyć. Nie jestem też tak bardzo przerażony ewentualnym powrotem do kraju. Ja przecież nie byłem kimś bardzo ważnym, ani działalność moja nie przybrała innych form, jak tylko walki z Niemcami. Byłem po prostu żołnierzem. Mam jednak pewne obiekcje, zwłaszcza po rozmowie z Mamą, która mówi, że nigdy nic nie wiadomo z jaką reakcją mogą się spotkać. Ona ma uraz i nie chce wracać.

(...)

Ty zresztą jesteś stale ze mną. Rozmawiam z Tobą, chodzę razem do parku, witasz mnie po moim powrocie z „budy”. Ciekawa mania, prawda? Stałaś się dla mnie czymś tak nieodłącznym, jak papieros dla palacza. A z drugiej strony jestem dziwnie spokojny, gdy myślę o naszej przyszłości. To jest wbrew zdrowemu rozsądkowi, bo przecież tyle przeciwności mamy do przezwyciężenia. Czasem wydaje mi się, że jesteś jakąś abstrakcją, wytworem mojej chorej wyobraźni. Napisz mi, że jesteś kobietą z krwi i kości, że można Cię wziąć za rękę, posadzić na kanapie i słuchać jak

mówisz. Chciałbym, by wraz z Buddą, którego kiedyś Ci dałem, wróciło do mnie szczęście i obecna jego posiadaczka.

Jesień 1947

Londyn nabral obecnie pewnego wyrazu, sporo uroku dodaje mu mgła i masy złocistych liści. Jakoś mi jest cklewie i tęskno. Żyję teraz bardzo bogobojnie zwłaszcza od czasu, gdy się przeniósłem na nowe mieszkanie. Czyż nie jest to dowodem, iż się starzeję. Nauka idzie mi dosyć ciężko, głównie z powodu języka, który mam jeszcze mało opanowany. Gorzej! Bo, gdy mam trochę wolnego czasu, to nie bardzo wiem co z nim robić. Brak mi po prostu znajomości. Musiałem się pożegnać z marzeniami – odnalazłem bowiem mamę i siostrę, które po wielu perypetiach znalazły się w Niemczech. Wiele przeżyły. Chciałem się nimi zaopiekować i sprowadzić do siebie. Ale ta głupia, niemądra malolata wyszła raptem za mąż i czeka na wizę do Kanady, aby tam wyjechać z mężem. Pytasz jakich mam kolegów? Temu najlepszemu znudziło się siedzenie w obozie. Pracuje obecnie jako robotnik w fabryce w Manchesterze. To bardzo dodatni typ – artysta malarz, intelektualista o żywej i niespokojnej fantazji. Zabrał się jednak do pracy fizycznej, aby zdobyć sobie niezależność. Tutaj w Londynie nie mam właściwie ludzi, z którymi utrzymywałbym bardzo ścisłe stosunki. Koledzy z Włoch są bardzo zajęci studiami. Ja też sporo mam z tym roboty. W niedzielę chodzę przeważnie na koncerty. Proszę Cię pisać jak najczęściej, czasem błahostki, czasem praktyczne myśli, czasem żart jakiś, to co myślisz i czujesz.

(...)

Tak się złożyło, że o północy wpadł do mnie dobry znajomy. Do późnych, właściwie wczesnych już godzin opowiadał mi o Powstaniu. Jest to mi już dobrze znane jako, że moi znajomi to przeważnie powstańcy warszawscy. Przypomniały mi się moje osobiste doświadczenia z czasów okupacji. Pamiętam dobrze sprawę „Maszewskiego” z Belwederskiej. Ktoś mi tam dopomógł. W sposób skromny, bezinteresowny, ot tak, jak się załatwia drobną koleżeńską przysługę. Dostarczono mi informacji, dzięki którym można było załatwić gościa bez żadnych, większych strat. To, co nie potrafiła wycisnąć osławiona „dwójka” to zrobiła pewna niepozorna, mała, czarnulka. Pamiętam też, takie drobiazgi jak np. przewiezienie mego pistoletu z Klarysewa do Warszawy na punkt. Pamiętam też noce, gdy w wykopie pod skarpią wybieraliśmy pod osłoną ciemności przechowywaną tam broń. O Boże! Jak żeśmy ją pieścili, głaskali, oliwili, zawijali w szmaty. To są też urywki związane z Tobą.



Listopad 1947

Bardzo mnie ucieszyła Twoja „rozkudłana” fotografia. Leży teraz przede mną na stole, a kolega śmieje się ze mnie, że jestem niby taki sentymentalny – choć na co dzień znają mnie jako cynika i prześmiewcę. „Patrzę na Twoją fotografię...” tak zdaje się zaczynają się słowa jakiegoś tanga? Ja właśnie patrzę i myślę, marzę, przypominam. W sprawie Bolkowej pisałem do mamy. Robiono mi pewne nadzieje jednak napisano, że już jest zbyt późno. Napisałem znów do mamy prosząc, aby raz jeszcze poruszyła wszystkie sprężyny w tej sprawie

Grudzień 1947

Siedzę w tej chwili u siebie w pokoju. Przede mną leży fotografia, którą mam wysłać do Ciebie. Przecież to wszystko niepodobna, abym miał taką kretyńską minę. Pocięszam się, że to obiektyw sprawił mnie w bezmyślną kontemplację... Dzisiaj wieczorem wybieram się na dancing. Idę z koleżanką, której mąż jest w tej chwili w Szkocji, a ona nie ochłonęła jeszcze po ostatnich wrażeniach – tydzień temu miała ślub. Morowa dziewczyna! Ona mi zawsze opowiada o swoim mężu, za którym bardzo tęskni, a ja jej czasem odpłacam pięknym za nadobne opowiadając o Bolkowej. Dziś więc, żeby się pocieszyć idziemy potańczyć. To jest jedyna kobieta, która potrafi zmusić mnie do uśmiechu. Wszystko wydaje się jej być wesołe i proste. Śmieje się więc ciągle i mnie czasem do tego pobudza.

Grudzień 1947

...Co studiuję? Ekonomię. I to właśnie czystą ekonomię, a nie kierunek handlowy i rachunkowość. Ubieganie się o tytuł "Bacher (?) of sainece", co odpowiada magistrowi nauk ścisłych. Fizycznie czuję się teraz bardzo dobrze, nigdy jeszcze nie miałem tyle sił witalnych. Ja po prostu mam 24 lata. To chyba dużo tłumaczy. Ale z drugiej strony jestem trochę być może przewrażliwiony uczuciowo ... ale cicho, sza, nikomu o tym nie mów, a zwłaszcza Bolkowej. I am terrible sorry! Naprawdę za dużo napisałem. To wszystko przypomina zwierzenia pensjonarki. Przez radio właśnie grają dość znany slowfox „I dream of you”. I naprawdę w każdej wolnej chwili „I dream of you”. Tęsknię, a jednocześnie wszystko mnie bawi, zachwyca. Świat dookoła jest niesamowicie bogaty, tak pełen wrażeń. Chciałbym z kimś podzielić się tym bogactwem... i nie mam nikogo...

Zima 1947

Jeżeli Cię interesuje jak spędzam w tym roku święta, dowiedz się, że w ogóle nie spędzam. Podczas wigilii będę najprawdopodobniej leżał w łóżku czytając. Koledzy idą do jakichś znajomych, gdzie ma być opłatek, choinka itd. Ja jestem w kiepskim nastroju, więc nie chcę psuć go innym. Niby nastrój świąteczny, a z drugiej strony poczucie takiej absolutnej pustki wokół siebie i raczej smutne perspektywy na przyszłość. Obezwładnia mnie przeszłość. To czepiania się przeszłości jest charakterystyczne dla tych wszystkich, których przyszłość właściwie nie istnieje, bo przedstawia się bardzo nieciekawie i niejasno, nie wyczerpuje w żadnym wypadku ambicji i możliwości. Trzeba kończyć to pisanie. Trzeba zebrać do kupy te rozedrgane uczucia. Ja zaś nie

jestem wcale zgorzkniałym człowiekiem. Świat mi się naprawdę tak bardzo podoba. Ale brak mi kraju, brak mi ... Koniec! Nie można się tak rozręczać. Cholernie tęsknię - Kazik

(...)

Wybacz mi, że będzie to list „pijany”, zbyt dużo zwaliło się na moją biedną głowę. Nie sądz jednak, że jest to mój normalny obecnie sposób spędzania czasu, ale po prostu były imieniny współlokatora. A więc teraz jestem kolejarzem. Chodzę w eleganckim mundurze pracownika kolejki podziemnej. Wy, ludzie środkowego wschodu nie macie pojęcia, co to jest metro. Jest to największa organizacja transportowa na świecie. Jest sesja egzaminacyjna więc dorabiam w ten sposób i będę mógł sobie coś niecoś odłożyć, bo warunki są bardzo korzystne: bezpłatne przejazdy po całym Londynie i okolicy, dobra płaca plus całe umundurowanie. Piszesz o sprawie narzeczonej Bolka. Ja też już o tym dużo myślałem. Zbieram informacje. Zrób to i ty też. Staram się poruszyć wszystkie sprężyny w sprawie Bolkowej, ale mówią mi niektórzy, że już jest za późno. Oczywiście, o ile znajdę jakąś realną drogę zrobię wszystko co w mojej mocy. Na razie kończę i posyłam Ci swoje zdjęcie – jest tak wyraźne, iż nawet widać niektóre pamiątki z przesłuchań po aresztowaniu.

Styczeń 1948

Bardzo dobrze się stało, że otrzymałem Twoje zdjęcie i list jeszcze przed świętami. Dalo mi to chociaż złudę Twojej bliskości. Co do wigilii, to chyba zdajesz sobie sprawę, iż jej w ogóle nie było. Do godziny 11-ej dnia następnego zwalila

mi się na głowę i to na kilka dni banda kolegów. Oczywiście nie dano mi dokończyć listu, który właśnie pisałem do Ciebie. Byłem w kiepskim nastroju, ale „banda” zechciała mnie rozweselić. Wstawaliśmy o 2-iej po południu – kładliśmy się spać ok. 4-iej rano. Długie rozmowy, niezliczone papierosy, po prostu potoki herbaty. Czasami usuwaliśmy nasze barłogi i tańczyliśmy. Radio grało bez przerwy. Podczas szalów tanecznych niżej podpisany, owinięty w ręcznik i krawat, lyskając nagą piersią, odtwarzał korsarskie tańce na stole. Tańczono kozaka, sambę, rumbę, poloneza. Były jednak godziny, gdy nie mówiliśmy do siebie ani słowa, niby tragiczne symbole zdegenerowanej emigracji. I tak przez 4 dni i noce piastowano patetycznie smutek i rozhułałą, zwariowaną młodością, radość życia. Wszystko bez kropli wódki. Czy uwierzysz? Byli tam domorośli malarze, pseudo-literaci, myśliciele. Wszystko typy wybujałe, mocne, zabawne. Jedni z uniwersytetów, inni z kopalni i fabryk.

Luty 1948

„Jeśli spaść to z dobrego konia” piszesz a propo's naszej listownej rozmowy. O! Ja jeszcze nigdy chyba nie spadłem ze szkapę. Interesują mnie tylko konie pełnej krwi... Nie wiem, czy Cię prosiłem w poprzednim liście, abyś pojechała do Klarysewa i porozmawiała z p. Bolesławem Zieleniewskim (kurier). Będę to odczuwał prawie tak, jak gdyby to było dane zrobić mnie samemu. Jest to jeden z bardzo nielicznych ludzi, dla których mam masę szacunku i nawet uwielbiam na szczenięcy sposób. W każdy razie prześlij mu moje najserdeczniejsze pozdrowienia. Wraz z powrotem p. Bolesława do Klarysewa odzyskałem pewną nadzieję na odrodzenie Klarysewskiego status quo. Klarysew bowiem symbolizuje dla mnie istnienie tych wartości, które chciałbym tak samo

widzieć jutro, jak je oglądałem wczoraj... A propo's Bolkowej – słyszałem o kilku wypadkach takiej samej choroby, jak u niej i wyobraź sobie zabiegi udały się i pacjenci są teraz w jak najlepszym zdrowiu. Nie wiem co stosowano, bo się na tym nie znam, ale poradź Bolkowej, żeby się trochę rozjeździła po miejscowych lekarzach. I przede wszystkim niech nie traci nadziei, bo choroba przy odrobinie szczęścia jest na pewno uleczalna, miałem tego ostatnio najlepsze dowody.

Wiosna 1948

Wiosna w Londynie. Tu jest coraz ładniej i coraz ... smętniej. Wiosna jest jedyną w Anglii znośną porą roku. Słońca jest niespodziewanie dużo. Pod koniec tygodnia tłumy młodych dziewcząt i chłopców wyjeżdżają za miasto. Ludzie są teraz specjalnie uprzejmi i przy każdej okazji, z wdzięcznym uśmiechem powtarzają: „What on Weather” co niby ma znaczyć, iż wyrażają swój podziw dla pogody. Mam duży, jasny pokój, pełno w nim słońca. Po włączeniu radia płyną wesołe lub sentymtalne melodie. Lubię w takiej chwili pykać bezmyślnie fajkę leżąc na tapczanie. „I tylko mi czegoś strasznie brak i tylko mi czegoś strasznie żal”. Coś w tym rodzaju pisał Tuwim. Czy Ty to rozumiesz?

Kwiecień 1948

Właściwie warunki materialne, jak na moje skromne pobozowe wymagania są niezłe. Co chwila jednak uświadamiam sobie brak Bolkowej. Brak mi jej ciągle i gdy w słoneczne popołudnie przechadzam się alejkami Hyde Parku, gdy siedzę na koncercie, gdy wracam z „budy” do swego pokoju, gdy tyle, tyle ciekawych rzeczy naokoło się dzieje. Ot chciałbym jej pokazać pewne urocze miejsce w parku,

razem obejrzeć szkice Michała Anioła w Wiktorii and Albert Museum, a nawet uzalić się na przekłete zęby, które tak mi w tej chwili dokuczają. Czy Ty to rozumiesz? ... Pozdrów serdecznie Rodziców i brata, całą Klarysewską rodzinkę. Niech im bimber smaczny będzie!....

Maj 1948

Na wszelki wypadek powtarzam, że w zupełności Twoją koncepcję akceptuję. Byłem dziś u Cook'a. Bilet można wykupić, ale 1) tylko w jedną stronę to zn. z Gdyni do Anglii 2) trzeba mieć pozwolenie z Banku of England (koszt 18 funtów). Załóżmy, że uda mi się takie pozwolenie wykupić, nie wiem, czy będzie Ci to odpowiadało, gdy otrzymasz pojedynczy bilet? Tu nie rozumieją po prostu koncepcji wysłania powrotnego biletu, bo przecież w każdej chwili tu na miejscu można ten bilet powrotny wykupić, a dostarczenie biletu do Polski wymaga specjalnej procedury związanej z dewizami itd. Niezależnie od tego, na prośbie o pozwolenie przez Bank of England na wykupienie biletu trzeba zamieścić datę wyjazdu do Anglii i z Anglii. Obie daty, a zwłaszcza pierwszą – musisz mi podać.

Czerwiec 1948

Ciągle czekam na coś bardziej konkretnego w sprawie Bolkowej – Ja co mogę zrobić ze swojej strony. Pamiętaj dziewczyno, iż czasu zbyt dużo nie mamy. Sama wiesz jaki sentyment do niej czuję i oczywiście postaram się wymieniony przez Ciebie wkład jak najszybciej uczynić. Pierwszą paczkę wysyłam jak najszybciej po tym liście. Pozdrowienia dla Rodziców i Jurka.



Lato 1948

Trafiła mi się pewna okazja. W ciągu sekundy zdecydowałem się, tegoż wieczora zlikwidowałem mieszkanie, a rano byłem już w drodze. Jadę na letni zarobek i cieszę się, że będę mógł nieco odłożyć na urzeczywistnienie „wspólnej” sprawy. Będę wspierał „Bolkową” nie tylko duchowo lecz i materialnie. Cieszę się ponadto widokami, świeżym powietrzem i perspektywą pracy fizycznej. Jestem w hrabstwie Devon, w bardzo pięknej okolicy, na farmie. Muszę Ci powiedzieć, że mój nowy pryncypał jest autentycznym hrabią, a jego żona lordówną. Jako, że socjalizm bierze górę hrabia z lordówną hodują krowy i sprzedają mleko. Aristokracja ta przejęła się o tyle demokratycznymi zasadami, iż pozwala sobie na pogawędki ze mną, zresztą na tematy głównie dotyczące hodowli. Byłem kiedyś z nimi u teściowej hrabiego. Kawalek chleba podali na 5 talerzach, srebra z XVII w. na stole. Jakaś przeczarna starowinka wykladała mi długo i zawile swoje koligacje ze Stuartami. Leżę, a właściwie siedzę na pierzynach i piszę Ci właśnie na gorąco. Podawali mi ciągle jakieś półmiski z zieleniną ni smakiem

ni wyglądem nie różniącą się od ordynarnej trawy z wodą (przypuszczam, że to zresztą nie było nic innego). Nie wiem czy podczas wieczornego lub rannego udoju potrafię odebrać się myślami od przeszłości. Czy ciągle będę miał Wasz obraz przed oczami? Bądź uprzejma pisać na nowy adres.

(...)

Na mojej farmie są żniwa. Co znaczy, że pracuję od 6.30 do 22. 30. Wczoraj byłem tak zmordowany, jak za najlepszych czasów „Koncentraku”. Tu wszystko „do kupy” jest bardzo zdrowe, ale ta sielanka zaczyna mnie już nużyć. Bo pomyśl: Krowa z przodu, krowa z tyłu, dalej beznadziejnie i wrzaskliwe kury. Tkwią tutaj zakopany po uszy w nawozie i kurach. A życie nie czeka i toczy się dalej. Jestem już parę lat w innym środowisku, więc pewnie się zmieniłem. Już nie jestem takim, jakim mnie pamiętasz. Nie wiem więc co zrobi Bolkowa, jak sobie z tym poradzi? Czy zaakceptuje? Zauważyłaś może, że rzadko o niej wspominam? Po prostu nie chcę zapeszyć.

Lipiec – lato 1948

Znów jestem na farmie. Ostatnio mieliśmy dużo słońca, to też opaliłem się na czarno. Prawie do 10-ej wieczorem zwoziliśmy wczoraj ziarno. Oczywiście traktorami – zabawa jak cholera. Wracam powoli do formy fizycznej. Mięśnie po prostu stalowe. Aż żal, że w swych ramionach niczego (a raczej nikogo) oprócz widel trzymać nie mogę. Jeszcze parę tygodni podobnej zaprawy, a mógłbym ewentualną damę serca udusić w miłosnym uścisku. Zdaje mi się, że na ekonomia nadawałbym się bardziej jak na ekonomistę choć przyznając, że bardziej się boję krów, niż one mnie. Głu-

pie to i silne i nigdy nie wiadomo, co im do głowy strzeli. Po prostu – bydło. Ze współlokatorami absolutnie nie można o niczym innym mówić niż o farmie. To też wieczorami czytam, a książek jest tu sporo. Ale obcowania nawet i w łóżku wyłącznie z książką – mam już naprawdę dosyć. Najwyższy czas, aby się w nim znalazł jakiś bardziej odpowiedni obiekt. I tak się człowiek marnuje na ziemi Albionu..... Twój, prosto od krów K.

Sierpień 1948

Burza w Twym ostatnim liście była groźna naprawdę. Lecz sądzę, że to nie tylko ja na nią zasłużyłem, a sytuacja, która nas rozdziela. Myślę, że prawdopodobnie nie mniej mnie kosztuje nasza rozłąka niż Ciebie. Przepraszam Cię, że tak dużo i drobiazgowo pisałem Ci o ludziach, którzy mnie otaczają. Być może poznając moich kolegów czy przyjaciół, poznasz również trochę lepiej mnie, takim, jakim teraz jestem. Piszę znów z farmy na której wciąż jestem. Nawet tu w angielskiej „Psiej Wólce” są pewne drobne przyjemności. Czasami przed zmrokiem chodzę na polowanie. Jeszcze nic nie ustrzeliłem, ale to wcale nie zmniejsza takiej wieczornej włóczgi po miejscowych lasach, które nocami – no cóż- przypominają mi podwarszawskie Kabaty i nasze gromadne, wieczorne spacerki wygonem. Dziś na odmianę (niedziela) wybraliśmy się starym gratem gospodarza do jakiegoś równie starego lorda (autentyczny) i jego oczywiście suchej i wysokiej małżonki. Dopiero tuż przy wyjściu owa wytworna para dowiedziała się ku swemu zdziwieniu, że mówię niezłe po angielsku. Sądziła, iż powodem mego uporczywego milczenia w ciągu całej wizyty jest nieznaną jomość jęz. angielskiego. A ja jestem po prostu – jak za pewne pamiętasz – skromnym i nieśmiałym chłopczykiem.

Zwłaszcza jeśli chodzi o ważne momenty w moim życiu. Nie potrafię operować odpowiednimi słowami, płacze mi się język lub jeśli piszę – pióro – ilekroć chciałbym coś bardziej głębokiego wyłożyć. Pamiętasz chyba pewien spacer w czerwcowy wieczór 1942r. Przygotowywałem sobie już uprzednio bardzo mądrą przemowę i jak sobie zapewne przypominasz, nie potrafiłem nic powiedzieć z wyjątkiem chyba dwóch wyjątkanych słów....

Jesień 1948

Właśnie zakończyłem swoją farmerską karierę. W rezultacie schudłem, opaliłem się i nabrałem sił. W Londynie czekają mnie prawdopodobnie kłopoty mieszkaniowe, ostre przygotowanie się do egzaminu (polówka w listopadzie) no i prawdopodobnie ciągle ta sama niezaspokojona tęsknota. Pisałaś coś o szopenowskiej muzyce (jak na Ciebie działa). Ja uwielbiam po laicku Chopina i w ogóle muzykę poważną, ale od pewnego czasu nie stać mnie na słuchanie jej, daje to okazję do niepotrzebnych refleksji i rozpamiętywań. Przypominasz sobie zapewne te niezaplanowane wieczory w mieszkaniu przy ul. Willowej, te wspaniałe recitale słynnego szopenisty, pana Ż. I my – widowia rozsiadła na dywanie w gabinecie pochłonięta całkowicie słuchaniem. A wygrywane przez Twoją mamę szopenowskie mazurki i walce na klarysewskim fortepianie? Wracam wspomnieniem do pewnego, sierpniowego ranka 1939 r. gdy z dalekiego Wilna zawitałem do tak uroczego miejsca, w którym żyli prawdziwi ludzie. Jakże niesłychanie barwne, różnobarwne, mocne typy, jacy ludzie zarazem. Kończę już ten list. Żegnam Cię chwilowo, moja Ty wybranko z klarysewskiego „zwierzyńca”.

(...)

Moja Ty bardzo dorosła! Wydaje mi się, że pomimo pesymizmu jaki przebija zarówno z moich jak i Twoich listów wszystko zakończy się pomyślnie. Niech Bolkowa nie pozostaje przy jednym lekarzu, niech szuka innych. Może któryś znajdzie jakiś sposób na jej chorobę? O jednym wszakże trzeba pamiętać: czas działa na naszą niekorzyść. To, co można jeszcze obecnie przeprowadzić, może stać się niemożliwością za czas jakiś.

A wracając do marzeń: nie wydaje mi się żeby twoje marzenia o blondynie z wydatnym nosem, który pojawia się w pewnym porcie, miało jakkolwiek szansę na spełnienie tej jesieni. Obiecuję, że następny mój list nie będzie taki pesymistyczny. Będzie to list romantyczny jak altanka klarysewska i tak niewinny jak pierwszy pocałunek, za który oberwałem „po buzi” w tejże altance. Ale nie daj się unieść pysze niewiasto, nawet z powodu twego wkrótce dyplomu mgr filozofii. Po prostu przyjmij ten wesół ton, choć jest to trochę weselość i śmiech pajaca z opery.





Londra, od 4. do 6. 9. 98

Moja Dy Bardzo Dorozka,
„Smarkata” wyglada jak delopnyta
pugponia wlasnie sobie teraz
pewny „bardzo” dojrzaly panus lat
tenu kilka wstet. Dziecie, ii za
tego wlasnie smarkata wypadla
rola uprowadzenia o igwie o dwa
lata starszej od niego Kobiety.
Taki niz wlasnie zastanawiam kto
z nas wozwas byl mlodny.
To jest bardzo naprawde dziecie ale
o ciegu byl kilka lat nato ni
zmienilo pod wygladem mojej
dziejalosci. Bardzo rozumnie wiec
i udomowilam i jony pownie
odpowiadajz namu wieci. Ale
poratym... szczeni panosze na
niedzie, igwie drogi. Uzdruje se
wlowiek per de igwie, tego powstet,
dantezo uhortuji, nasami sobie o

coś morda skłuje a przed nim
cisze wody, poświaty, ciemny
świat. I doler nie mi własnie
lebie traktuje podras bez spaceru
przez las iglic.

Waszaj otymulka Twoj list. Tak
się zrobiło, iż otolo potrzebny upadł do
mnie naj dobry pyjanieł. Do pisania
rano opowiadał mi o powstaniu.

Jest to mi już bardzo dobre rano i
liczyłem opowiadani jako, iż moji
znajomi to sami powstanczy. Skutecz-
nie jednak rozdygotany i emocje w jakichś
wspomnień z Tamtych Dni.

Przypominaty mi się jednocześnie moje
osobiste doświadczenia z rano obywateli.
Pamiętam dobrze „sprawy Kaszewskiego”
z Belwederskiej. Ktoś mi tam bardzo
dopomógł. O sposób słowny, bezimienny
ot, tak, jak się zakłada dobru

kollektivis, puzdrijs doktoruono mi
i-formacij dighi ktimom ninn bled
zakatoti goicu ber ieduzet unuzet
strut. To co nie potratiti uzibros.
ostaciona "dvojku" to zrobita
pevra nepozorna, nala uzumalka.
Puzistom tui tuiie dvoibuzi jizt n.p.
puzivienie nazo pistoletu i kluznata
do Varnau, na punkt. To ss arguli
uzpuzniet uzisuzet i tubs.

Prutim jizt uzalno izic, ktore abumi
uzituda sij na dvoct glouuzet planuznata.

Pierona: to ozchivanie na Mis.

Druga: razuzen sij uzanne uzij.

heba uzie u listopuzdie uzteruzidiat
ktim, uzpeono abuzijs.

diat ten jizt puzimuz dvoct na naly.

U sobots rozlita sij de uzie jizt kolezije
sichidli tu doktoruone cel, diat, uoc i
vatsuzuzego diat puzivu do puztruzij.

Balagan byl tak nesamozit, ii nie
bylo mozy o konymovani listu.
Uzben ma wice opowiadani. Przydem
pogromu.

A tymczasem w ~~tych~~ Kacym Dobra
rozpoznaje is wipine izie bezwaghu.
Nadpól panien nie wieje taki rozg
na wiosne. U bylyi ziduch najchwilijes
pore wleze jst jstien to dei akcja is
wzjwila wkinie dem. Polemus nieste
worse Paleula, troche szpalka-melacko,
troche Koluthe. Upadobala ona sachie
nego przyjadla ktory panino 27 ent
nigdy jinne nie pocalowal kobiety.

Teraz dwie strony psychodna domnie
na schactre wzimem is, onakuja rad,
jako ii uwaiem da jstien za "doiwicie
konego szlondra" w tej materii.

Zubawa ruzym w Klamozewie.
Opowu tego nam nowego partem

Dundiečo-dorleči nvenit & kony,
Uiny vidri ee mie misten. Uydomyj
vise go jak moge. Zevylen ad
vynhanis nu dzevnyuti duchi
nachi gytavania obidov.

Unory rebrači is "rada familijni"
u celu vytkavici glonej lino detyjnyj
"mlodego nymansa". Na vny votsyie
rebroniro nu vyzole mivie pny, ves.
Ma pny dva mianie duduči i uny
iz ad "stavnyet". "A patem do
zobanyj, noie z eibie vi vyvoinie."

I vovan dopyno uvriadomitan
vbie ii jeden dorobny utovikio
nu htojny "vistyj odpovednikovici z
lasy mlodego jeholenis nu dvyjnie."

Katran. Mogy, devitovo komec.
D vovatel vyghem vavoznyj list,
Mam vednyj, ii ababianie vyghovnyj
osoby pojdris dabne. Udenie tekne
P.S. Rianulidaj mui
vireponivats. Dzyj, kairh



Wrzesień 1948

Mam nowego sublokatora w pokoju. 20-letni szczeniak z Warszawy, który widzi we mnie mistrza. Wychowuję więc go jak mogę. Wczoraj zebrała się u mnie rada rodzinna (2-ch moich kolegów) w celu wytknięcia głównej linii edukacyjnej młodego „szympansa”. Na samym wstępie zabroniono mu w ogóle przy nas się odzywać. Ma przez dwa miesiące słuchać i uczyć się od „starszych” I wówczas dopiero uświadomiłem sobie, iż jestem dorosłym człowiekiem, na którym ciąży odpowiedzialność za losy młodego pokolenia na obczyźnie... Chwilowo pa, Moja Mała A. – wybranko z klarysewskiego zwierzyńca. A jednak – Na przekór wszystkiemu – damy początek nowemu, wspaniałemu rodowi „Piratów z Czarnej Rzeki”.

Październik 1948

....Teraz trochę drobiazgow z mego życia: schudłem ale jestem zupełnie zdrowy i nawet podrosłem trochę w ciągu lata. Podobno z twarzy przypominam siebie ze zdjęcia w Klarysewie na ławeczce z Tobą. Jeszcze rok temu byłem chodzącą szafą, teraz – można powiedzieć przybrałem wygląd bardziej nóżliwy. Poza tym, w listopadzie zasiadam do egzaminu, który być może obleję, stracę stypendium i następne listy będę pisał do Ciebie na przykład z kopalni węgla. Anglicy ciągle podnoszą wymagania, a na skończeniu studiów może liczyć 3% studentów. Przed chwilą otrzymałem Twój kochany liścik z września. Przyznaję, że wywarł on na mnie naprawdę duże wrażenie. Nie mogę pozwolić sobie na zupełnie szczerze odpisanie, bo zbyt szybko zmięknę i jeszcze smutniej mi będzie. Trudno mi też zabrać się do naszej listownej zabawy: przypominania sobie obrazów

z naszego dzieciństwa, którego oboje nie znaleźliśmy (ja Twego a Ty mego) – ale spróbuję. Najdawniejsze moje wspomnienia sięgają jeszcze do Mińska Litewskiego. Pamiętam jakiś ogród, bardzo zieloną trawę, ogrodzenie z drutów kolczastych. Wiem, że spacerowałem tam z mamą. Dalej – pamiętam fragmenty z przejazdu przez granicę do Polski w 1925r.

Październik 1948

Naprawdę zabawnym krajem jest Anglia. Tutaj najlepiej można odróżnić lorda od farmera po tym, iż pierwszy jeździ na ogół jakimś przedpotopowym gratem, podczas, gdy każdy chłop wyjeżdża na weekend luksusowym samochodem. Maniery są raczej podobne, konto w banku prawdopodobnie też, wnętrza domów mało się różnią. I jedni i drudzy mają bardzo ograniczone pojęcie o świecie, który rozciąga się po drugiej stronie kanału. Poglądy naiwne, dziecinne, natomiast sporo zdrowego rozsądku w codziennym życiu. Charakterystyczny – o anegdotycznym zabarwieniu, jest wyjątek z miejscowej gazety, która pisząc o silnej burzy w Kanale La Manche, zaznaczyła w nagłówku „Europa odcięta”. Nikomu do głowy ani na chwilę nie przyjdzie, że to Anglia była odcięta od Europy. Pod podobnym punktem widzenia rozpatruje się tu wszelkie sprawy, dotyczące tych „dzikich kraików”, leżących na kraju świata, po drugiej stronie kanału. Na tym kończę.....

Grudzień 1948

Powinienem Ci dobrze uszu natrzeć z powodu tak długiej przerwy w korespondencji. Czy Ty sobie w ogóle wyobrazasz jak się wówczas czulem? Z powodu ponurej miny

chciano mnie zaangażować w firmie pogrzebowej, matki straszły mną niegrzeczne dzieci, a policja wykazywała dużo skłonności do aresztowania tak podejrzanie wyglądającego indywiduum. Zaraz po otrzymaniu Twego listu omal nie zwariowałem z radości. Piszesz, że są jakieś konkretne możliwości, perspektywy w sprawie uzdrowienia Bolkowej z choroby. Bodaj wszystko poszło po naszej myśli. Ale podobno nie należy ploszyć szczęścia. Głupie przesady ... ale ... A propo's tej sprawy: w Londynie małżeństwa otrzymują 9 funtów miesięcznie na żonę i coś około tego na każde dziecko

Zima 1948

Dziś jestem właśnie w jednym ze swych gorszych nastrojów. Może to wina zbliżających się świąt? Ale do rzeczy. Omówiliśmy już dokładnie w którymś z listów wszystkie sprawy finansowe. Będę nadal wspierał Bolkową przysyłając paczki, które pomogą w realizacji projektu.

Każdy miesiąc zwłoki stawia pod znakiem zapytania pozytywne dla nas rozwiązanie. Życie też ma swoje prawa. Jest to doprawdy szczęście, że tak bardzo absorbuje mnie nauka. Inaczej chyba bym nie wytrzymał. Najwięcej zadowolenia dają mi koncerty. Jeśli coś lub ktoś jest tu winien, to życie, to okoliczności, które ciągle nie sprzyjają Bolkom, by mogli być razem. So long, so long, so long – Kazik

Styczeń 1949

Tu w Anglii, po pierwszym okresie szalonego powodzenia u Angielek, Polacy zaczęli kręcić się znowu za towarem ojczystym. Teraz w najbardziej już poważnych zamiarach. Mieli dosyć obijania się po cudzych kątach. Chcieli tak zwa-

nego domowego ogniska, w którym mogliby mówić i kłać po polsku. Cena na Polki poszła w górę. Czemu? Ano bo mężczyźni procentowo więcej wrócić do kraju lub wyemigrowało. Od roku 1946 zaczęto tu zwozić różne gimnazja, przeważnie żeńskie: z Palestyny, Libanu, Indii, Południowej Afryki. Te dziewczęta też chciałyby się ustatkować. U tych dziewcząt my właśnie byliśmy w cenie. Nie liczyły się już wysokie szarże wojskowe. Powodzenie mieli zwykli żołnierze. Trochę to nawet nieraz wyglądało śmiesznie, kiedy one pierwsze rozpoczynały atak. Często więc spędzając czas w towarzystwie tych Polek traciłmy respekt dla płci pięknej spotykając się z nudą i złym gustem. Wynik jest taki, że każdy z nas tworzy legendy o tych prawdziwych kobietach, wzorach polotu, rzetelności, dobrego smaku, dobrego wychowania i dowcipu, które to nieboraczki czekają na nas bohaterów, ludzi bez wyjątku wielkich i o wspaniałym sercu. Na tutejszy towar patrzymy z pogardą, najwyżej czasami z litością. Niejeden zdobywca Monte Cassino, wdychając głęboko, wydobywa wypłowiałą fotografię młodej dziewczyny, przygląda się z błyskiem rozpaczy i szaleństwa, a potem cierpi dalej za miliony, na chmurnej wyspie. Oczywiście jest to trochę powierzchowne przedstawienie tego zagadnienia. Słuchaj! Co Ty o tym wszystkim myślisz? Napisz mi zupełnie szczerze, czy wy tam, w kraju jesteście takie naprawdę wspaniałe? Czy może my mamy zbyt wielkie wymagania? To na prawdę jest tutaj potężnym problemem. Odpowiedź Twoja będzie odczytana w gronie moich kolegów.....

Luty 1949

A propo's moich wad – one bezwzględnie są: a więc palę i to sporo a to w Anglii masę kosztuje. Poza tym mam po-

dobno złośliwy język i jestem mrukiem. Poza tym trochę ze mnie abnegat (bardzo rzadko prasuję spodnie). No na dziś wad powinno wystarczyć, bo jeszcze gotowaś mi nie odpisać. Jak widzisz dotąd się maskowałem i udawałem w listach, że jestem lepszy niż jestem. Ale teraz to byś mnie nie poznała. Jestem przyprószony siwizną (nie, wcale mi się nie zdaje) i mam głębokie zatoki z przodu, czyli zaczątki łysiny, no cóż 26 lat. I na dodatek lekko się garbię. Ostatnio jeszcze schudłem na wiór (ach! Te egzaminy!), tak, że ledwie nie przewracają mnie londyńskie wiatry. Ale ciągle jeszcze trzymają się mnie niemądre kawaly (Pamiętasz klarysewskie brewerie i szalone konkursy?). Dowód, że jestem jednak ciągle młody. Tak – młody, głupi i... zakochany... Ten Twój pomysł to trochę nierealnie wygląda. Przecież tego nikt nie zrobi bez bardzo grubej forsy. Trzeba więc pewnie kombinować inaczej.

Marzec 1949

Wiesz! Mam chyba już dość biadolenia tych politycznych emigrantów. Rozrabiają na siłę we wszystkich polityczno ideowe cierpiętnictwo, wciągają gwałtem jakąś koszulę czerwoną lub czarną, żółtą lub zieloną – ale ja jestem mały człowieczek i chcę po prostu żyć bez żadnej koszuli. O! I jeszcze jedna wiosna przed nami, choć nastrój nasz nie jest najlepszy. Nie wiem naprawdę co mógłbym napisać, aby choć trochę Cię pocieszyć. Piszesz, że jest jeszcze minimalna nadzieja, że może się uda. Póki cokolwiek jest przed nami, choćby najmniejsza szansa, nie możemy się poddać. W momencie, gdy dojdiesz do wniosku, że nic absolutnie nie da się w naszej sprawie już zrobić – napisz mi o tym zupełnie szczerze. Trzeba się będzie zdobyć wówczas na decyzję.....

Wiosna 1949

Skończyłem właśnie 26 lat więc powinienem już przecież chyba być dorosłym. A z drugiej strony tak bardzo potrzebuję kogoś, kto pomoże mi być mniej więcej porządnym człowiekiem. Jak Ci już o tym pisałem, nie wyobrażam sobie jakiegokolwiek możliwości egzystencji w wypadku nieudania się sprawy Bolkowej. Zrozumi kobieto, iż w moich warunkach, przy całkowitym osamotnieniu i pozbawieniu wszystkiego co przedstawiało jakąś wartość dla mnie, jedynie realizacja sprawy Bolkowej nadawała sens dalszej walce o tzw. byt.

(...)

Znowu kolejna wiosna. Jestem z kolegą w Hyde Parku. Jest naprawdę bardzo ładnie. Kwitną bzy, alejki są obsypane jakimś kwieciem u nas nieznanym. Siedziałem na ławeczce obok jakiegoś przygarbionego emeryta, tak jak i on żyjąc już tylko wspomnieniami. Dziwne to jest, ale listy mi pomagają (zarówno do Ciebie, jaki i od Ciebie). Jakoś łagodniej, pogodniej.

Maj 1949

Wydaje mi się, że pomimo pesymizmu jaki zarówno odbija się w Twojej korespondencji, jak i w moim obecnym nastroju – mamy jeszcze jakąś szansę przed sobą. W moich warunkach, przy całkowitym osamotnieniu i pozbawieniu wszystkiego, co przedstawiało jakąś wartość – jedynie ta sprawa nadaje sens dalszej walki o byt. Nie jestem histerykiem, ale życie tylko dla życia nie stanowi dla mnie celu samego w sobie....





Miss

Halina Chliska

Warszawa

ul. Niemcewina 35

Poland

BY AIR MAIL
1948
SWEDEN

POSTAGE
1948
SWEDEN
WARSAWA
POSTAGE
POLSKA
1948

POSTAGE
POLSKA
1948

Epilog

Lato 2010, Kazimierz nad Wisłą

Przedziwnie urokliwe to miasteczko zafascynowało mnie kiedyś i podbiło moje serce. Przyjeżdżam tu od lat. Tu mi się najlepiej odpoczywa. Może też ma na to wpływ i sama nazwa?

„Gdzie jedziesz w tym roku?” – pytają znajomi. Jak to? – odpowiadam – jak zwykle – do Kazimierza, do mojego Kazimierza. I jest w tym mała nutka melancholii, smuga zamyślenia i coś jakby spełnienie – H. C.

Dzieweczka ma klary-
sanskim debie
okrepija - rok 1940



Halina Chlistunow Cieszkowska

Urodzona w Mińsku (na Białorusi). Od r. 1921 w Polsce (Wilno, Kosów Poleski, Warszawa. Gimnazjum ukończyła w r. 1938. W tejże szkole była jedną z założycielek 9 Warsz. Drużyny Harcerzek. Od 1940 r. należała do Zw. Walki Zbrojnej w Grupie „Edwarda” plk. Pfeiffra (trudniąc się głównie kolportażem prasy podziemnej), potem – automatycznie do Armii Krajowej. Brała też udział w Powstaniu Warszawskim, jako łączniczka w Plutonie Łączności i Obwodzie Śródmieście (dca „Radwan” pfk. Pfeiffer). Odznaczona Krzyżem Walecznym. Po kapitulacji powstania, przebywała – jako jeńiec wojenny – w Stalagu IV b oddział w Zeithain (szpital jeniecki) w Saksonii. Po zakończeniu wojny i powrocie w maju 1945 r. do kraju rozpoczęła studia na UW. Dzięki studiom humanistycznym (rozpoczętym jeszcze w czasie okupacji hitlerowskiej na tajnych kompletach) uzyskała w 1948 r. stopień mgr. Filozofii. Po zawarciu w r. 1951 związku małżeńskiego i odchowaniu dwójki dzieci przepracowała szereg lat w Bibliotece Publicznej, następnie w szkolnictwie, wychowując nowe, młode pokolenie. Obecnie będąc na emeryturze para się piśmiennictwem (artykuły, eseje historyczne). Pisma z którymi współpracowała to: „Za i Przeciw”, „Stolica”, „Nadwiślańskie Echo”, „Płomyk”, „Słowo – Dziennik Katolicki”, a obecnie „Płomyczek” i tygodnik katolicki „Idziemy”. W r. 1993 za książkę o Warszawie pt. „Gaudium In litteris” (przechadzki po Warszawie) napisanej wspólnie z Krystyną Krejser otrzymała nagrodę prezydenta miasta. Pracuje jako wolontariuszka w „Karcie” Archiwum Wschodnim. Włącza się też do różnych spraw dotyczących Kresów Wschodnich, z których się wywodzi.

Jej współpraca z niemieckim lekarzem dr. Gustawem Bekkerem (założycielem pojednania niemiecko- polskiego w mieście Elsterwerda (Saksonia) stała się początkiem wielu pozytywnych inicjatyw jak n.p. upamiętnienie tablicą polskiego obozu jenieckiego na tamtych terenach (Stalag. IV B – lazaret Zeithain) oraz – po wielu skomplikowanych wysiłkach – odnalezienia grobów Powstańców Warszawskich, zmarłych z ran w tymże szpitalu - ekshumacją tychże i postawieniu przez tamtejsze władze pomnika pamięci. A wszystko to odbyło się w bardzo uroczystej oprawie.